

Henryk Bułhak

część I z III

Sygnatura notacji: **N0123**

Data urodzenia: **01.01.1930 r.**

Data nagrania: **21.01.2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący/ rozmowę: **Michał Kurkiewicz**

Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 37 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryk Bułhak: Chociaż moje dzieciństwo jest związane z Nowogródkiem, jakkolwiek się urodziłem w Wilnie, ale jestem raczej prędzej nowogródzianinem niż wilnianinem, jakkolwiek oczywiście oba te miasta są dla mnie bardzo bliskie i bardzo drogie. Moje dzieciństwo upłynęło w Nowogródku. Pochodzę z rodziny, jakbyśmy to powiedzieli w czasach PRL-u, inteligencji pracującej. Ojciec mój był sędzią okręgowym w Nowogródku i moje dzieciństwo upłynęło rzeczywiście w dość, powiedziałbym, sielankowej atmosferze, zarówno domu rodzinnego, szerszej rodziny, jak również i szkoły, i przyjaciół, kolegów. Miałem zaszczyt rozpocząć swoją edukację na poziomie szkoły podstawowej, czyli szkoły powszechnej, jak wtedy się mówiło, właśnie w szkole sióstr nazaretanek, które w tej chwili są, jak wiadomo, wyniesione przez Jana Pawła II na ołtarze, a które tę swoją pozycję wśród błogosławionych i świętych Kościoła Katolickiego zawdzięczają bohaterskiej śmierci z rąk niemieckich 1 sierpnia 1943 roku. Ale to już jest dalsza historia, której, nawiasem mówiąc, ja bezpośrednio nie doznałem, ponieważ w roku 1941 zostaliśmy z matką i z moją świętą pamięci babcią, czyli matką matki, wywiezieni na Syberię. Cofając się nieco do 1939 roku jako tego roku, który dla mnie zamykał pewną epokę, co znaczy: zamykał moje dzieciństwo i tak jak zresztą wielu z naszego, z mego pokolenia do pewnego stopnia wrzucił w dorosłość, bo tak to można określić, a stało się to dokładnie 17 września, kiedy wieczorem wśród grzmotu i łoskotu gąsienic wtoczyły się pierwsze oddziały korpusu bodajże kawaleryjsko-zmechanizowanego Armii Czerwonej. Tak się złożyło, że mój ojciec, który miał zresztą doświadczenie już z tak zwaną władzą sowiecką w młodości, ponieważ tak jak wielu Polaków mieszkał na terenach Imperium Carskiego, mieszkał w Petersburgu i dopiero repatriował się do Polski w 1922 roku w marcu, a więc jako już zupełnie dojrzały pan, który miał za sobą już i front, i właśnie przeżycia z okresu rewolucji październikowej, już mniej więcej od stycznia 1918 roku ojciec już wrócił z frontu i już przebywał na terenie Petersburga, i również zaliczył parę tygodni aresztu na tej słynnej ulicy Grochowej,

gdzie mieściła się czerezwyczajka, a gdzie chyba do dziś mieszczą się odpowiednie, zdaje się, instytucje tego typu, godni spadkobiercy teź komisji, no więc ojciec w 1939 roku nie czekał przyścia Sowietów, tylko po prostu z paroma kolegami jeszcze, sędziami, udało mu się uciec do Wilna, a już stamtąd na Litwę i tak dalej. Jednym słowem myśmy zostali z matką, tak się później złożyło, że z nami również zamieszkali rodzice mojej matki, moi dziadkowie, dziadek zmarł wcześniej, w 1940 roku, a w 1941 roku, 20 czerwca, nastąpił tak zwany czwarty wywóz. My na Kresach północno-wschodnich często nazywamy ten wywóz trzecim wywozem, ponieważ tak się złożyło, że kolejno trzeci wywóz z czerwca 1940 roku nie objął Nowogródzczyzny. On jakoś obszedł Nowogródzczyznę bokiem, zdaje się, dotarł chyba czy do Brześcia, czy do Białegostoku, w każdym razie na pewno objął raczej środkowy ten fragment Kresów, to znaczy Wołyń i dalej Lwów i tak dalej, natomiast dla nas trzecim wywozem był wywóz 20 czerwca 1941 roku, na dwa dokładnie dni przed wiarołomną napaścią hitlerowskich Niemiec na miłujący pokój Związek Sowiecki. Przedtem jeszcze myśmy już mieli informację, że coś się niedobrego dzieje na Wileńszczyźnie. Ale jak to w takich wypadkach bywa, myśleliśmy, że, no co, już nas dotknęły dwa ciężkie wywozy. A to lutowy wywóz 1940 roku i kwietniowy wywóz 1940 roku. A więc jeden, który poszedł, przynajmniej z naszych terenów, na Archangielsk, a drugi, który poszedł na Kazachstan. Natomiast jak dowiedzieliśmy się od kolejarzy że w Wilnie coś się dzieje niedobrego, a to się zaczęło chyba 14 czy 15 czerwca, tośmy się trochę się uspokajali, no dobrze. Kogo mieli, to raczej chyba powinni byli już wywieźć. Natomiast tam jest to dopiero pierwszy wywóz na dobre, ponieważ przecież Sowietci, jak oddali Wileńszczyznę, chyba już w październiku 1939 roku, to dopiero ją zajęli w czerwcu 1940 roku. No i dopiero po roku nastąpił ten właśnie wywóz. Tymczasem ten wywóz, że tak powiem, się dotoczył również i do nas. I nawiasem mówiąc, myśmy mieli pewne informacje, że coś się będzie również działo w Nowogródku. I teraz właśnie tutaj zastanawiam się, czy ten wątek w dalszym ciągu rozwijać, czy też może ja tutaj za nadto wchodzę w pewne szczegóły, detale.

Monika Kurkiewicz: To są akurat ciekawe bardzo. P: Michał, trochę bliżej do mnie, tu do pana. Jak najczęściej kontakt wzrokowy...

Henryk Bułhak: Bo to są takie sytuacje, które, no trudno powiedzieć, czy może nie są typowe, ale one...

Monika Kurkiewicz: Historycy się nad tym, z tego co ja wiem, zastanawiają. Akurat nad tym problemem, na ile to było uświadomione, a na ile nie.

Henryk Bułhak: Tak. No więc w każdym razie, proszę państwa, tak się składało, że te wiadomości, te ciągle pogłoski o wywozach, one bez przerwy nas nękały. Co pewien czas zdaje się, że coś się szykuje. Jedna pani, drugi pan i to jest tak zwana agencja JPP, jedna pani powiedziała i tak dalej. No ale tym razem sprawa zaczęła wyglądać trochę niepokojąco, a moja matka miała znajomą, Izraelitkę, jak to się u nas mówiło, elegancko, ponieważ na Kresach Wschodnich, co jest dość istotną uwagą, którą tutaj czynię jako człowiek starszy, pamiętający te czasy, tam, gdzie krzyżowały się i języki, i wpływy, i tak dalej, tam słowo Żyd mogło mieć czasami ten wydźwięk pejoratywny. Ponieważ słowo „Żyd” w języku rosyjskim jest na pograniczu określenia obraźliwego. To prawie tak, jakby ktoś powiedział „parch”, mniej więcej. Tam jest „jewriej”. To jest to dokładne tłumaczenie. Żyd to jest „jewriej”. I tego rzeczywiście w Związku Sowieckim bardzo przestrzegano. Ale w okresie międzywojennym, jeżeli się chciało być bardzo uprzejmym wobec starozakonnych współobywateli, z których zresztą część myśmy, jak wiadomo, na Kresach Wschodnich odzie-

dziczyli po Rosji carskiej, a tam, jak wiadomo, lokowała się ta tak zwana [niezrozumiałe, 00:09:36], czyli ta strefa, gdzie Żydzi mogli przebywać, dlatego ci Żydzi też byli wielokulturowi czy nawet dwukulturowi. Bo oczywiście przede wszystkim mówili po żydowsku, czyli jidysz, natomiast większość z nich, przynajmniej w pewnym przedziale wiekowym, znała doskonale rosyjski. Ten rosyjski był cofnięty troszeczkę w ich świadomości, bo oni przecież nie używali tego na co dzień, no i jakoś tam musieli się porozumiewać ze środowiskiem polskim po polsku. Robili to wiadomo, w jakiś sposób, przeważnie słabo. Natomiast jeżeli się chciało być bardzo uprzejmym wobec Żydów, to się używało określenia „wyznania mojżeszowego” i tak dalej, ale mówiło się na przykład Izraelita. „Przyszedł do mnie pewien Izraelita”. To było bardzo... Mówiło się: „przyszedł do mnie Żyd, Żydówka, Żydownica”, można tak było powiedzieć, ale to było raczej ordynarne i mogące oczywiście... nie wypadało oczywiście w sposób chamski, niegrzeczny używać tego rodzaju określeń wobec Żydów. Mieliśmy taką znajomą, Izraelitkę, młodą jakoś panienkę taką, znaczy moja mama miała, w której sympatyzował enkawudzista. Jakiego tam ten enkawudzista był stopnia i szarży, i tak dalej, i w jakim stopniu, że tak powiem, wtajemniczenia znajdował się w ich strukturach, ja tego nie wiem. Ale ilekroć przychodziły tego rodzaju informacje, że coś tam będzie... że ktoś tam w Nowojelni, bo myśmy przecież nie mieli własnej kolei normalnotorowej, tylko mieliśmy taką kolejkę między Nowojelnią a Nowogródkiem i Lubczą tam dalej, i w Nowojelni dopiero... to była ta linia między Baranowiczami, Lidą i Wilnem, w Nowojelni mieliśmy tę stację, a w Nowojelni widziano ciepłuszki. A w Nowojelni widziano podejrzenie dużo towarowych wagonów. To wystarczyło, żeby już ludzie zaczęli sobie spekulować i tak dalej. No i była wiadomość, że coś się tu szykuje. I pamiętam, przyszedł do mnie dwie przyjaciółki, bardzo serdeczne przyjaciółki mojej mamy, które zresztą niedawno zmarły, znaczy umierały stopniowo, co parę lat, ale w bardzo, bardzo sędziwym wieku, bo obie panie dożyły po dziewięćdziesiąt pięć lat, czego tutaj obecnym wszystkim serdecznie życzę, i plus tam jeszcze może parę, i które... Ja tam byłem wtedy po [niezrozumiałe, 00:12:30] byłem takim troszkę rekonwalescentem, pogoda była cudowna, czerwiec, więc była wspaniała, upalna pogoda, zapowiadał się bardzo taki obfity rok, wszystko pięknie kwitło, mama poszła na nabożeństwo czerwcowe, te ciotki, ja je nazywałem ciotkami: „Henryczku, to jak mama przyjdzie, to żeby mama wstąpiła do nas”. No proszę bardzo, dobrze. Mama wraca, babci wtedy też nie było, gdzieś tam się kręciła w pobliżu. Ja mówię, przyszedł ciotki, prosiły, żeby mama tam poszła. Mama mówi, dobrze, to ja w takim razie polecę jeszcze. No i pada zmrok, wszystko bardzo pięknie, po niejakiś czasie matka wraca i powie: „A wiesz, Henryczku, takie są plotki, że ma być wywóz czy coś takiego, ale ja poszłam do swojej Sareczki”, Sarka się nazywała, czyli Sara, bardzo piękne imię, biblijne, i ona powiedziała, że tak, że ma przyjechać wieczorem jakaś ekipa wojskowa, bo w Puszczy Nalibockiej jest jakaś banda i oni tam, zdaje się, jakąś będą obławę robić na tę bandę. I to była informacja, którą otrzymała moja matka. Teraz, dość niedawno, dogadałem się ze swoją nieco starszą koleżanką, mieszkającą wtedy ze swoimi rodzicami po sąsiedzku, że do nich z kolei przybył jakiś milicjant znajomy i powiedział wyraźnie, że szykuje się coś bardzo niedobrego. „Ale państwa nie ma na liście”. Matka ponoć wstąpiła również po drodze do tych państwa i ta moja koleżanka, żyjąca: „A ja mówiłam twojej matce, że taką mam informację, że będzie wywóz. Na co twoja matka powiedziała, że ona z kolei upewniła się u tej swojej Sareczki, że nie będzie wywozu”. I na tym się skończyło, że myśmy poszli spać, a ponieważ dzisiaj była jakaś dziwna taka... w Nowogródku tam przez parę tygodni jakieś takie dziwne były napady, nie napady, może to jakaś była banda, może coś, jakieś były dość takie [niezrozumiałe, 00:14:52], więc myśmy nawet tam... i babka, i matka dość długo siedziały do późna w nocy, żeby troszkę tak już wytrzymać prawie do świtu, i późno się kładły spać. Ja pamiętam jak ja zasnąłem, to matka siedziała przy oknie, a od nas niedaleko była ulica, ulica Piłsudskiego, która schodziła i przechodziła w szosę idącą na Bara-

nowicze. Ja zapamiętałem tylko właśnie warkot ciężarówek no i w tym ciemnym pokoju już, krzyżujące się światła tych reflektorów, one podjeżdżały. Nowogródek leży na dość dużym wzniesieniu, to jest najwyższe wzniesienie w całym województwie nowogrodzkim, stąd takie właśnie położenie tego i zamku nowogrodzkiego, i tak dalej, no i rzeczywiście coś było, że jakaś kolumna samochodów jedzie do miasta. No i za parę godzin było łomotanie w drzwi, matka wyszła, jakieś podniesione głosy, słyszę coś, matka coś po rosyjsku, z kimś rozmawia po rosyjsku, no to tymczasem przyszła ta ekipa, która nas miała wywieźć. No więc jednym słowem... A ta moja koleżanka mówi: „A widzisz, to ta Żydóweczka, tamta, matka zawierzyła jej, a byście mogli przecież wtedy uciec”. Owszem. Rzeczywiście. Gdybyśmy tylko po prostu wzięli koce, a ciepła była noc na pewno, poszlibyśmy pół kilometra za miasto, gdzie zaczynały się już lasy śliczne i tak dalej, bo przecież Nowogródek jest otoczony lasami i tak dalej, i mogliśmy tam sobie spokojniutko przesiedzieć noc i następny dzień, i tam jeszcze jeden dzień, i byśmy zostali prawdopodobnie w Nowogrodku. Jak dalej potoczyłyby się nasze losy, trudno powiedzieć. Najwidoczniej opatrność inaczej zrzędziła. I później matka wchodzi i powiada do mnie, słuchaj, Heniek, trzymaj się, bo ja troszeczkę tak zaczęłam tam trochę tak... może nie tyle płakać, ale w każdym razie coś mnie tam złapało za gardło. Uświadomiłem sobie, że to jest wywóz, że to nie są żadne żarty, jeżeli o 4:00 nad ranem czy o 5:00 ktoś przychodzi komuś do domu. I jeden był cywil, bardzo zresztą taki niesympatyczny, drugi był enkawudzista, w normalnym takim mundurze z tym denkiem takim błękitnym, tak myśmy nazywali ich te niezapominajki, i z czerwonym otokiem, taki jakiś typu chyba kaukaskiego, bo jakiś taki... Później on tam jakiś protokół, coś, tego, tam jakieś padło nazwisko, jakiś Mundrzan, nie Mundrzan, coś, nie bardzo pamiętam. I on miał takie troszkę surowe wrażenie usiłował robić, tam popędzał nas, ale w gruncie rzeczy nam pozwolił bardzo dużo zabrać rzeczy. I ja muszę powiedzieć szczerze, że mam bardzo, że tak powiem, takie właśnie wspomnienia o tym enkawudziście chyba raczej pozytywne. Bo on rzeczywiście mógł powiedzieć, już, koniec, zabraliście to, co trzeba, paszli. A on nam pozwolił zabrać dwa kufrы rzeczy. I jak ja porównuję różne sytuacje wśród naszych najbliższych znajomych, to nam, jak mawiają Rosjanie, [niezrozumiałe, 00:18:30], to znaczy nam się udało. Do tego stopnia, że ja do jednego z tych kufrów wrzuciłem „Trylogię” Sienkiewicza, a matka, co wyda się panom rzeczywiście dość szokujące, wrzuciła dwa fraki, frak mego ojca i frak rodzonego brata mojej matki, inżyniera, dublańczyka, inżyniera rolnika, który, nawiasem mówiąc, udało jemu się tam przejść granicę w 1940 roku i znaleźć się już tam w Generalnej Guberni i tak dalej, i oni go ocaleli. No i te fraki, myśmy to wszystko wzięli.

Monika Kurkiewicz: A co się z nimi stało później, z tymi frakami?

Henryk Bułhak: A, to była...

Monika Kurkiewicz: Ja mam tylko taką prośbę, Proszę ewentualnie nie stukać, bo mikrofon położę.

Henryk Bułhak: O, przepraszam bardzo, tak.

Monika Kurkiewicz: Taka tylko uwaga techniczna.

Henryk Bułhak: A, to wie pan, jeżeli ja wspominałem o tych dwóch frakach, to jak to z tym hakiem, na którym wisi strzelba. To musi pod koniec filmu wypalić. Więc ten film tu rzeczywiście... Ja do tego fraku wrócę jeszcze. Jednym

słowem nam pozwolił stosunkowo sporo wziąć. I jeżeli teraz ten enkawudzista, stoi przed sądem najwyższym, to będzie poczytane in plus. On prawdopodobnie należał do tych tak zwanych wojsk konwojowych. Być może to nie był człowiek, który strzelał w ceratowym fartuchu z parabellum czy z tam z jakiegoś Walthera w tył głowy. Nie wiem. W każdym razie tak zapamiętałem tego człowieka. I dwóch takich zupełnie szeregowych enkawudzystów, którzy stali, jeden był zupełnie jakiś taki mongoidalny gość, a drugi był taki białowłosy taki chłopak, taki blondyn był, taki bardzo wielkoruski. I oni byli zupełnie milczący. Tam nam pozwolili nawet... Pamiętam, że któraś z tych właśnie... Matka tej mojej koleżanki, o której wspominałem tutaj przed chwilą, jeszcze zrobiła, nie wiem, skąd ona miała, bo wtedy już tego nie było na pewno w sprzedaży, ale zrobiła mi jakieś kakao. I to kakao wlała mi do termosu, i ten termos się zbił. Z okropnym trzaskiem oczywiście. Z tym że ja: „No, to na szczęście”. No i rzeczywiście myśmy z matką wrócili. Babka została na Syberii niestety, zmarła, no ale myśmy z matką jakoś przeżyli. Więc może chociaż to zabicie tego termosu było jakimś dziwnym signum, że może nie wszystko najgorzej się skończy. No, więc teraz tak, zawieźli nas... znaczy poszliśmy tam z tymi swoimi... matka nałożyła na mnie jakiś dorosły płaszcz, jeden czy dwa, upał straszny był, bo jednak mimo wszystko te parę godzin to trwało, to nasze zbieranie się, ja jeszcze z paroma tam... parę tam jeszcze tam tych sąsiadów jeszcze trochę tam pomagało, też ludzie trochę się bali, no ale mimo wszystko przełamywali strach i jednak tam... I na podwórku gmachu przy ulicy... obecnie się nazywa chyba Mickiewicza, dawniej się nazywała Słonimska, widzimy tę całą... tego też masa, tych naszych znajomych, nieznajomych już, na podwórku NKWD, i przyjeżdżają ciężarówki, te właśnie, które ja widziałem w nocy czy tam wieczorem przyjeżdżające, i odwożą nas do Nowojelni, gdzie nas ładują do [niezrozumiałe, 00:22:22]. I to trwa tak mniej więcej do wieczora. Udało się... Ponieważ myśmy zapomnieli wziąć jakkolwiek pościel, tutaj fraki się wzięło, tu ja brałem „Potop”, „Ogniem i mieczem” i „Pana Wołodyjowskiego”, cały ten komplet, zresztą on u mnie nawet jest chyba jeszcze, oni czytali nawet z tego egzemplarza, czyli moje dzieci, a zabrakło nam pościeli. No ale tutaj kuzynka mojej mamy zorganizowała szybko też z takim dalszym kuzynem naszym pod wodę, znaczy krótko mówiąc, furmankę, to było między Nowogródkiem a Nowojelnią, to było 20 kilometrów, to była kwestia paru... tam godziny-dwóch jazdy. I rzeczywiście udało się temu naszemu kuzynowi, Piotrusiowi, wśród tego straszliwego chaosu, bo od razu zamknęli nas na głucho, ciemno jak lichy w tych wagonach, wszystko to zwalone na kupie, jacyś tam ludzie przypadkowi dość zapakowani z nami no i tam krzyki, no i w końcu ja posłyszałem tylko krzyk [niezrozumiałe, 00:23:43], zaczęliśmy się drzeć, że my tutaj jesteśmy, i poleciał ten nasz kuzyn, znalazł jakiegoś enkawudzystę, który otworzył, ale też tak samo, tak zablokowane były te drzwi od wagonów tych towarowych, takie dwuosiove były te wagony towarowe, po dwadzieścia parę osób mniej więcej tam wchodziło, że tych dwóch naszych kufrów nie dało się wcisnąć. I myśmy musieli to wszystko wywalić na zewnątrz i wrzucać w tę ciemną czeluść tego wagonu, a dwa te kufrы zabrali do takiego osobnego wagonu, gdzie sami enkawudziści. I proszę sobie wyobrazić, że po dwóch tygodniach myśmy dostali te dwa kufrы z powrotem. Z wyjątkiem bardzo przyzwoitego żelazka, które widocznie było tak potrzebne komuś i tak atrakcyjne, że oni jednak tam to żelazko przykradli. Ale te kufrы... I te kufrы zresztą wróciły. Nawiasem mówiąc, wróciły te kufrы z nami razem. Bardzo uszczuplone oczywiście, jeżeli chodzi o zawartość. Natomiast to, co tutaj przywiózł nam kuzyn, wcisnął jakoś tam pościel, rzeczywiście jakieś tam parę poduszek, jakieś kołdry i potężny wór, też jest ważna rzecz, potężny wór sucharów. Świętej pamięci mój dziadek zbierał suchary, suszył i odkładał do wora. Nie ma tutaj, żeby cokolwiek się marnowało. I myśmy zabrali te suchary z sobą. I też tak samo, one się kiedyś nam przydadzą. Wieczorem, bardzo późno wieczorem, ruszyliśmy do Baranowic, zajechaliśmy tam chyba około godziny 11:00, bo pamiętam, że jak zajechaliśmy, jakaś duża stacja, gwizdki parowozów i tak dalej, można było mniej więcej zorientować się,

że to już są na pewno Baranowice, ktoś tam nawet zapalił zapałkę, zobaczył zegarek, „A, 11:00 godzina”, dlatego zapamiętałem, że my już 20 czerwca byliśmy o 11:00 godzinie, czyli o 23:00 godzinie, byliśmy w Baranowicach. Rano zrobili nam niesłychaną frajdę, ponieważ otworzyli nam okna, w związku z tym od razu ogromna fala powietrza świeżego, z jednej strony tylko, ale z takimi dwoma sztabami. Ale w każdym razie okno, można było... Już widać cokolwiek, świeże powietrze i tak dalej, zresztą ja znalazłem się na tej górnej półce, koło okna, i całe właściwie te dwa tygodnie jazdy, aż do tego krasnojarskiego kraju, przesiedziałem przy oknie. Ruszyliśmy gdzieś tak około południa, w stronę... na wschód, tą linią na Moskwę, poprzez Stołbce, Nigerełę, Mińsk, a dalej już Orsza, Smoleńsk i tak dalej. Około godziny 5:00 po południu mijaliśmy naszą granicę przedwojenną. Nawiasem mówiąc, to, co mi zwróciło uwagę, to leżące jeszcze wzdłuż torów nasze przedwojenne semafony i tak dalej, które widocznie oni inaczej ustawiali czy coś, czy może w ogóle wymieniali. Ja właśnie zwróciłem na to uwagę. I pamiętam też taki wzruszający bardzo moment, kiedy zatrzymaliśmy się właśnie chyba w Stołbcach, z wodą było kiepsko rzeczywiście, więc tam też te kolejarki, te panie, zaczęły tam wiadrami pompować tę wodę, podnosili pod wagony, myśmy spuszczała na jakichś sznurkach butelki no i tak pamiętam, jak taka pani... my tam też wołamy: „Może jeszcze pani dla nas przyniesie?”. I ta pani leci, ta kobieta, leci z wiadrzem do pompy, zaczyna pompować i ten eszelon nas rusza, i ta kobieta staje tak bezradna, to było blisko nas, i my widzimy, jak ona płacze, patrzy na nas i płacze. To był ten taki moment, my machamy, oczywiście dziękujemy i no trudno, nie udało się. A drugi taki moment z tej mojej podróży, to był moment, który ja z największym wzruszeniem przypominam, który zaważył bardzo na moim stosunku w ogóle do Rosjan w takiej może nawet głębszej perspektywie. Otóż byliśmy na stacji, zatrzymaliśmy się na takiej stacji, która się chyba nazywała Pawlinawa. Pawlinowo, mówiąc po polsku, a Pawlinawa po rosyjsku. Za Smoleńskiem. Zatrzymaliśmy się, to taka stacja niewielka. No i widzimy, kupa niewiast, normalnych bab, w takich chustach, z jakimiś koszykami, z jakimiś, tego... Podchodzą one do nas, tak zbliżają się do naszego tego eszelonu i: „A wy skąd” i tak dalej, więc mówimy, że my z Polski. Wiozą nas. Nie wiemy, no. I w pewnym momencie one zaczynają nam wrzucać do wagonów przez okna wszystko, co miały. Jechały prawdopodobnie na jakiś rynek, na jakiś bazar. Więc to były różne rzeczy, ktoś tam kawałek miał jakiegoś sera, jakiś kawałek chleba, jakiś tam bochenek, coś takiego. Ktoś tam spuszcza, jak to się nazywa, litrówkę tam jakąś i ta babina usiłuje wylać jakieś tam swoje mleko. Ja pamiętam, że ja dostałem, wręcz tak prawie że w twarz, zbitką jakichś, prawdę powiedziawszy, najokropniejszych, landrynek, których prawdopodobnie przed wojną nawet człowiek by do ust nie wziął, ale to dla mnie te landrynki zostały na całe życie. I to w dużym stopniu uwarunkowało mój stosunek do Rosjan, od których później również człowiek doznawał różnych i upokorzeń czasem i tak dalej, ale ogólny mój bilans wypadł, i dla mnie samego, i dla mojej rodziny, jednak absolutnie pozytywnie. I teraz ja zawsze jako kontrpunkt wspominam, i tutaj już jest zupełna wolta do 1946 roku, kiedy my jedziemy z powrotem już, jesteśmy na terenie Polski, w pile nasz eszelon łapie mój ojciec, który dojechał z Elbląga, bo wiedział, że my wracamy, tutaj już nadaliśmy depeszę z Terespolu, nadaliśmy depeszę z Dębłina, gdzie zatrzymaliśmy się, no i wysiedliśmy z eszelonu, ładujemy się do pociągu, naszego polskiego pociągu, znaczy pasażerskiego, straszliwy oczywiście tłok, no i banda jakaś taka włazi, prawdopodobnie szabrowników. A my jesteśmy... To jest jakiś trzydziesty prawie dzień jazdy. I zaczynają... Prawie że na nas włączają, nas tam depczą i mój ojciec mówi: „Panowie, no jakoś... Tu ludzie wracają z Syberii, no trzydzieści dni jadą”. „He, he, to mogą się na swoją Syberię wrócić”. Tak powiedział mi skurwysyn Polak, po polsku. Ja rozumiem, że nie należy uogólniać, ale tego to ja też do końca oczywiście nie zapomnę. Oczywiście ten skurwysyn nie pochodził z Kresów Wschodnich, bo na Kresach Wschodnich nikt by do nas tak się nie odezwał. Ale bydle, polskie bydle, polski kołtun, którego być może, jeżeli on żyje, to bym jeszcze jemu

dzisiaj w mordę napluł, to jest prawdopodobnie wielkim patriotą w tej chwili, odsłucha odpowiednich, że tak powiem, rozgłośni i tak dalej. No ale to możecie panowie nawet wyciąć w razie czego. Ale widzi pan, to jest zawsze w mojej świadomości, tkwi, te kobieciny, żeby najdalszym ich potomkom dobrze się szczęściło, bo nigdy tak nie było, żebym kiedykolwiek życzył źle Rosjanom. Nigdy. No może w tym okresie, kiedy... No był taki... No właśnie zaraz do tego wrócę. W Orszy spotyka nas ogromna radość, radość, która oczywiście się wyda z innej strony perwersyjna. Mianowicie... Znaczący rodzaj, że podjeżdża o dwa czy trzy tory eszelon i widzimy Polaków. Więc robi się niesamowity entuzjazm, zaczynamy się przekrzykiwać, „Skąd wy jesteście?” – „Z Brześcia” i tak dalej. „No a wiecie co się stało?”, „A co takiego?”, „Wojna”, ktoś ryczy. „Jaka wojna?” – „Niemcy napadli, wojna”. Więc radość ogromna. Panowie kochani, wojna. Znacząca nasza sytuacja już się zmienia. A rzeczywiście ta wojna już zaczynała mocno wisieć i myśmy zdawali sobie sprawę, że tam, powiedzmy, ktoś tam jednak słuchał trochę tego londyńskiego radia i tak dalej, więc tamte pogłosy były. Bo ja na przykład... zaraz do tego wrócę jeszcze, jak czasami można było rozumować. No więc oczywiście straszliwy wybuch radości. Nawet do dziś dnia zapamiętałem numer tego wagonu, z którym myśmy rozmawiali, jak zatrzymaliśmy się, to były jakieś dwa tory, więc zupełnie rozmowa była swobodna, to był 44. numer tego właśnie eszelonu z Brześcia idącego. No więc ogromna radość. I jak to wśród Polaków, tworzą się natychmiast dwa stronnictwa. Jedno jest stronnictwo, że tak powiem, prosowieckie, to znaczy, że no skoro nasz wróg, pierwszy, wróg numer jeden, napadł na naszego wroga numer dwa, to musimy wybierać między jednym wrogiem a drugim. No więc jednak Słowianie, to takie rozumowanie, no że jednak, że tamto, że siamto, że przecież jednak jesteśmy w wojnie z Niemcami, więc jeżeli Niemcy napadli na Sowietów, no to tym samym, oni stają się jak automatycznie naszym sojusznikiem. To rozumowanie jest oczywiście bardzo, parafialne i tak dalej... No a drudzy mówią, nie, to niech oni się tam wykrwawiają. No i tutaj rzeczywiście, im więcej myśmy się dowiadawali, że Niemcy tłuką Sowietów, to przez pewien czas myśmy rzeczywiście byli z tego powodu zadowoleni. Że przynajmniej nasi wrogowie tłuką się. Ale, i właśnie tutaj zachodzą bardzo różne odcienie tego wszystkiego, co zaczęło nas później łączyć z tą miejscową ludnością. A na razie jedziemy. Jak wyglądała nasza jazda? Otóż trzeba wyraźnie powiedzieć, żeby czasami nie wpadać w taki nazbyt martyrologiczny ton, który na pewno jest bardzo, ale to bardzo uzasadniony, chyba w 90% wypadków, ale czasem od sytuacji bardzo martyrologicznych mogą być pewne odchylenia. Otóż takie odchylenie prawdopodobnie nastąpiło w wypadku tego naszego eszelonu. Więc tak, tłok był okropny, warunki sanitarne były takie, że było takie koryto, które myśmy tam zaślani prześcieradłem, no i to była nasza ubikacja, do której trudno było się przyzwyczaić, bo jednak czasami człowiek musi mieć trochę intymności jakiejś, no ale jednak... Nawiasem mówiąc, jeden raz mnie wypuszczono, matka tam uprosiła jakiegoś sanitariusza, bo jakby taki rodzaj sanitariusza z nami był czy coś takiego, że oto ja... czyli Bionek i tak dalej, no więc mnie wypuścili, za przeproszeniem, na siusiu. I to jedyny raz w ciągu dwóch tygodni, kiedy ja dotknąłem ziemi nogami.

Monika Kurkiewicz: Gdzie to było?

Henryk Bułhak: W Orszy. W tejże właśnie Orszy, tak. Więc tam tego parę kroków dałem, jakoś skupiłem się no i, chwata Bogu, wszystko się odblokowało, i dalej już wszystko szło dobrze, natomiast dla niektórych to była straszna męka. Więc tak, wyprowadzano po dwie osoby na wagon z wiadrami po tak zwany kipiatok czyli po gorący wrzątek, z którego no można było zrobić coś w rodzaju herbaty, jeżeli tu ktoś miał. A jeżeli nie, to się po prostu piło normalnie, tę gorącą wodę jakoś, przegotowaną oczywiście. A nie prosto z jakiejś tej pompy kolejowej. Czasami na sta-

ciach jakieś tam babiny wychodziły i coś tam sprzedawały. To było bardzo skromniutkie, no ale jakiś tam trochę chleb można było, czasem jakiś ser czy coś takiego, więc jeżeli ktoś miał jakieś tam ruble i tak dalej, no to tam można było coś niecoś kupić. Poza tym kilka razy w ciągu dokładnie dwóch tygodni, bo na czternasty dzień tam już dobiliśmy do miejsca przeznaczenia, w ciągu tych dwóch tygodni chyba dano nam ze trzy, a może cztery razy obiad, to znaczy posiłek dwudaniowy. Jakąś taką zupkę i coś na drugie, kaszę, nie kaszę i tak dalej. Jak dziś pamiętam, mogę menu podać, które zapamiętałem i które będę pamiętał do końca życia, bo nic smaczniejszego ponadto nie jadłem chyba w życiu. Mieliśmy w Omsku nad Irtyszem, bardzo wtedy myśmy jakoś tak byli wygłodzeni i strasznie długo to trwało, bo myśmy stali na jakichś bocznych jakichś tam torach i tak dalej, do stacji było daleko, więc zanim tam zanim poszła cała ta kolumna tych naszych delegatów, że tak powiem, którzy tam chodzili, bo to przeważnie po dwie osoby na wagon, poszli z tymi wiadrami po to jedzenie, to minęło dobrych parę godzin no i w rezultacie, pamiętam, że była pomidorowa zupa, jak dziś pamiętam, pomidorowa zupa, z jakimś nawet takim groszkiem pływającym, rzadkim, a na drugie była wspaniała łapsza, to znaczy makaron, zaprawiony trochę kielbasą. Tak że na te dwadzieścia dwie osoby, bo myśmy jechali w dwadzieścia dwie osoby, to było zupełnie przyzwoite. Można było po prostu się najieść. Jednorazowo porządnie najieść. I później ja nie wiem, czy nam jeszcze dano w Nowosybirsku, czy coś, w każdym razie kilka razy dano. Więc powtarzam jeszcze raz, w porównaniu z tym horrorem, jaki miał miejsce w czasie pierwszego wywozu, to znaczy tego lutowego, kiedy mało tego, że ludzie zamarzali w wagonach, dzieci i tak dalej, to też tam było głodno i tam to był horror. Ten kwietniowy wywóz też był bardzo surowym wywozem. Nie wiem, jak wyglądało w przypadku innych eszelonów. Być może myśmy mieli jakieś takiego przyzwoitszego tego komendanta tego eszelonu, bo przecież było tych paru enkawudzystów, którzy nas tam pilnowali, później nie potrzebowali pilnować, bo przecież nikt nie będzie uciekał gdzieś tam spod Uralu piechotą, więc zawracanie głowy. Natomiast zachowanie się, że tak powiem, tych konwojowych, tych żołnierzy, to było w miarę przyzwoite. Nie było jakichś żadnych awantur, gwałtów, jakiegoś bicia czy czegoś takiego. W rezultacie zajeżdżamy my do miejscowości, która się nazywa Aczyńsk. Rano, bodajże 4 lipca, znaczy, tak, to był czternasty dzień, rano czternastego dnia jazdy, nasz eszelon, który ma kilkadziesiąt wagonów, dzielą na dwa takie jakby odcinki i my przyjeżdżamy, i wyładowują nas do takich ogromnych baraków pustych. Okazało się, że to była tak zwana stara mielnica, czyli takie stare baraki, takie składy, magazyny starego młyna, i następna część tego naszego eszelonu również, myśmy się tam wszyscy jakoś tam zapakowali i tak dalej, no i między innymi... oczywiście myśmy tam już podobierali się trochę wagonami, znajomi i tak dalej, żeby być bliżej. Między innymi myśmy tam sąsiadowali z ojcem pani Agnieszki Rudzińskiej, czyli ze Stasiem Marchockim, który był wywieziony ze swoją matką, a jego siostra była aresztowana gdzieś na wiosnę 1941 roku, ale tę grupę młodzieży, którą aresztowano, Niemcy, że tak powiem, złapali w kocioł pod Mińskiem. prysnęła eskorta enkawudzystów, na szczęście ich nie wystrzelali, i oni wrócili z powrotem do Nowogródka, piechotą już. Pozwolili im tam Niemcy. Natomiast tylko ta miejscowa ludność powiedziała, słuchajcie, jak będziecie szli, to tylko jeżeli spotkacie jakikolwiek nasz oddział, to nie mówcie, że jesteście [niezrozumiałe, 00:44:17]. Mówcie, że jesteście ugałowniki, znaczy kryminaliści. I tam rzeczywiście oni jakoś zetknęli się z jakimś takim oddziałem, który tam się przebił z tego okrężenia. „A wy kto taki?” – „No my tutaj ugałowniki”. „A ty kto?” – „Wor”. „A ty kto?” – „A bladź” – „Paszli”. Puścili ich. No i ci sobie spokojnie wrócili. No niestety, ciotka rodzona, znaczy ciotka pani Agnieszki, czyli siostra Stasia Marchockiego, no niestety zginęła z rąk sowieckiej partyzantki w 1942 roku. Bodajże 30 kwietnia zginęła, w Woronczy tej słynnej, w Woronczy, o której wspomina Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”. I której ostatnim właścicielem przedrozbiorem był ten słynny wojewoda Niesiołowski, stary. Trzyma tam 200 strzelców obyczajem pańskim i ma sto wozów

sieci w zamku worończańskim. To nie był co prawda zamek, ale to był bardzo taki piękny dwór. Nie wiem właśnie, czy senator Niesiołowski jest jego jakimś tam potomkiem czy nie, ale w każdym razie nazwisko to samo. No więc tak mniej więcej skończyła się ta nasza jazda no i czekamy, co dalej. Ludność podchodzi do nas miejscowa, znaczy się, niby tak ogrodzeni, tam tych paru chodzi wartowników, ale tak to wszystko razem, zaczynają się jakieś rozmówki, ja mówię, skąd, i oni pierwsze pytania: [wypowiedź po rosyjsku, 00:46:14] Więc nas dosłownie poraziła ta postawa tej takiej w średnim wieku ludności. Że oni czekają na Niemców. No, ale wojna jest wojna. Jeszcze wieczorem przywieźli nam do naszego tego miejsca pobytu cały eszelon łotyszów. Też wywiezionych. To myśmy w stosunku do tych łotyszów to już byli [niezrozumiałe, 00:47:06], hołyszami. Cała inteligencja łotewska, bardzo elegancko poubierana, w eleganckich garniturkach, płaszczykach, sukieneczkach. Jak myśmy zdołali już zbiednieć, jak zjechać pod względem cywilizacyjnym w ciągu tych lat dwóch, niecałych dwóch, 1939–1941, kiedy myśmy na tych łotyszy patrzyli jak na przybyszów z jakiegoś niesłychanie cywilizowanego kraju. W ogóle republiki bałtyckie były bardzo zamożne. Były bardzo rządne, bardzo przyzwoicie prosperujące państewka, niewielkie, bo niewielkie, ale bardzo właśnie, powiedziałbym, zamożne nawet. Myśmy patrzyli na tych łotyszów, muszę powiedzieć, z dużym... Bardzo im było, widać, ciężko, bo oni byli zupełnie rozbici, nawet z nieznanym językiem i tak dalej... Ich los był okropny później, bo ich tam bardzo tak głęboko gdzieś tam powywozili, tam do tajgi i tak dalej, już nawet nie wiem, gdzie tam oni końcu... W każdym razie po pewnym czasie zaczynają do nas przyjeżdżać wozy i zaczynają nas rozbierać i rozwozić po kołchozach. I tak jak na zasadzie, patrząc w zęby zdrowszych, kto tam, jacyś chłopcy tutaj, tu jacyś tacy mężczyźni, przy czym pełno było tam takich już подро́стków, po szesnaście, po siedemnaście lat, Stasio Marchocki, który jest kilka lat ode mnie starszy, jeżeli ja mam w tej chwili siedemdziesiąt osiem, on ma jakieś osiemdziesiąt może jeden, dwa, jakieś tam cztery do pięciu lat jest między nami różnica. Tak, on jest chyba... Jak jego wywieźli, to on chyba jakieś piętnaście albo szesnaście lat już miał. A ja miałem jedenaście, no to jest między nami jakaś różnica cztery-pięć lat. To raz zegnaliśmy się, ci ludzie się rozjeżdżają, z niektórymi już nigdy człowiek nie spotkał się w życiu, z niektórymi jakoś tam się spotkało. No i w rezultacie... A jakiś taki enkawudzista... matka do niego mówi: „Proszę pana...”, [wypowiedź po rosyjsku, 00:49:32] Bo ja rzeczywiście byłem zdechlakiem i mnie mocno Syberia zahartowała, bo zupełnie mówię to bez żadnej ironii. [wypowiedź po rosyjsku, 00:49:50] Co to jest „charoszy kołchoz” jak na tamte warunki? To był kołchoz jako tako lepiej zarządzany, gdzie mniej kradli, gdzie, powiedzmy sobie... i przede wszystkim było blisko miasto. Też lokalizacja była bardzo ważna, czy kołchoz leży 100 kilometrów od linii kolejowej, transsyberyjskiej, bo przecież myśmy się znaleźli na tej transsyberyjskiej kolei, jedynej zresztą linii przecież tutaj. Do dziś dnia. No więc jeżeli człowiek mieszkał o te 150 kilometrów od stacji, to już było gorzej niż wtedy, kiedy się mieszkało o 30 kilometrów, gdzie można było w ciągu paru godzin dojść. I rzeczywiście w końcu przyjechali, no i ten [niezrozumiałe, 00:50:41] mówi, ja was tutaj kieruję do tego kołchozu. Jakiś taki przyzwoity był ten też oficer, bardzo taki robiący wrażenie takiego inteligenta. Chyba to był jakiś z trzema gwiazdkami, to był może starszy [niezrozumiałe, 00:51:01] taki troszkę pokaszujący, troszeczkę wyglądało na to, że on taki jest troszkę też chyba niezbyt zdrowy. W każdym razie przyjeżdża parę tych wozów i nas tam, całą grupę, zabierają. Tam jeszcze dwie rodziny były z nami. I my, pamiętam, jechaliśmy jakoś tak na wieczór i nawet zatrzymaliśmy się na popas w nocy, taka noc była pod gołym niebem, zresztą piękna cały czas pogoda, śliczna, jedziemy takim terenem, który jeszcze nie był tajgą, ale już taki trochę leśny, i tylko taka, pamiętam... nie zapomnę tej rozmowy z taką babką, jakaś taka baba szła, w tym samym kierunku mniej więcej, jak to się mówi, [niezrozumiałe, 00:51:47], no i my tam wszyscy, znaczy moja matka i przyjaciółka mojej mamy, z którą myśmy tam... i jej rodzina, wszyscy naturalnie znali doskonale rosyjski, bo tam przecież kończyli gimnazja

rosyjskie i tak dalej, to wszystko było towarzystwo kresowe, że tak powiem, bardzo. No więc wdają się w rozmówkę z tą kobieciną i ktoś tam z naszych pyta: „Jak się żyje?”. Na co ta tylko tak krótko odpowiedziała: [wypowiedź po rosyjsku, 00:52:26]. To znaczy: „Żyj i zachowuj milczenie”. „Przymilczaj”, że tak powiem. To jest bardzo charakterystyczny zwrot: [niezrozumiałe, 00:52:40] znaczy „nie gadaj za dużo”. I to, że tak powiem, dla nas była bardzo trafna, kierunkowa, że tak powiem, sugestia, żebyśmy jak najmniej gadali. Ja gdzieś pamiętam. I ja wtedy już trochę tam rosyjski rozumiałem, bo ja właściwie rosyjskiego zacząłem się uczyć uczyć właściwie po to tylko, żeby czytać „słotki”, to znaczy komunikaty. Bo zanim zaczęła się ukazywać na Kresach, jeszcze tam w latach 1940–1941, taka szmatława gazeta „Czerwony Sztandar”, to później on dłuższy czas tam w Wilnie wychodził, ale to była gazeta, którą tam już dla Polaków zrobiono. Ale to dopiero zaczęło się... Ona zaczęła się ukazywać w 1940 roku bodajże, ale też ona była w dość niedużym nakładzie, natomiast łatwiej było o gazety rosyjskie. I ja zacząłem uczyć się rosyjskiego w ten sposób, że ja brałem tę gazetę i przynajmniej chciałem przeczytać tę słotkę, czyli ten komunikat, oczywiście angielski, a oni zawsze na ostatniej stronie, na ostatniej płachcie tej gazety, czy to była [niezrozumiałe, 00:54:04], czy to była prawda, była z jednej strony, pamiętam, chyba z lewej, ta słotka niemiecka, niemiecka [niezrozumiałe, 00:54:10] i [niezrozumiałe, 00:54:14]. Ja czytałem oczywiście tylko [niezrozumiałe, 00:54:17], bo oczywiście Niemcy to łżą, bo tu znaczy zastrzelili pięć samolotów, a ci zestrzelili piętnaście, albo odwrotnie, rozumie pan, to był przecież i 1940 rok, i tak dalej, człowiek śledził i bitwę o Anglię... I pamiętam jak dziś, w 1941 roku... No tak, to był maj. To przecież też z wypiekami śledziłem pościg za Bismarckiem i pamiętam tę nieprzytomną radość, że nareszcie dopadli tego Bismarcka, a ja strasznie byłem. zawsze zafascynowany „Morzem”, mój ojciec nawet w pewnym sensie dla mnie prenumerował „Morze” i ja czytałem to „Morze” i poza tym w 1938 roku po raz pierwszy byliśmy w ogóle z rodzicami nad Bałtykiem, tam koło Rozewia, na takich bardzo zresztą dla mnie niesłychanie ciekawych i ogromnie miłych wczasach byliśmy, i poza tym kampania ta libijska, przecież ja byłem doskonale zorientowany w geografii Libii i Sidi Barrani, i Bengazi, i Marsa Matruh, i El Alamein, wszystko. Poza tym kampania abisyńska, przedtem była jeszcze kampania włoska, więc nagle się zacząłem orientować dobrze w geografii Albanii, bo przecież ta ofensywa włoska rozgrywała się na tym froncie albańskim, czy grecko-włoska, czy tam włosko-grecka, ta kampania 1940 roku, zresztą zwycięska dla Greków, bardzo tak pięknie, więc w ten sposób odbywała się moja edukacja i historyczna, i edukacja do pewnego stopnia językowa również. I my tam dotarliśmy do tego kołchozu, jakoś tak już rano przyjechaliśmy do tego kołchozu, no i takie to pierwsze wrażenie, i ulokowali nas w szkole stojącej po środku wsi. Wieś była taka bardzo rozrzucona.